

R e l a c j a

K a l i n a A n n a S k ł o d o w s k a - A n t o n o w i c z
Urodz. 18 marca 1923 w majątku Towianki, gmina Szaty ≠ Seta ≠ , pow.
Kiejdany na Litwie. Ojciec Stanisław Skłodowski syn Ewarysta, matka-
Zofia Skłodowska, córka Karola, z domu Abramowicz. Ojciec artysta
rzeźbiarz, ochotnik legionista / I Pułk Ułanów Krechowieckich /,
odznaczony Krzyżem Walecznych za wojnę z bolszewikami, którym był
dekorowany dopiero w 1938 roku w poselstwie polskim w Kownie, gdyż
do tego czasu granica między Polską a Litwą była zamknięta. Wraz z ro-
dzeństwem brałam udział w uroczystości dekoracji Ojca, której doko-
nał, o ile mnie pamięć nie myli, pułk. Mitkiewicz. Dziadek Ojca, a
mój pradziadek Dionizy Skłodowski brał udział w Powstaniu Styczni-
wym.

Mama moja była pielęgniarką w polskim szpitalu polowym w Bobrój-
sku, tam się poznała z Ojcem i chyba tam wzięli ślub./ Mama pochodził
z Białej Podlaskiej/.

Było nas troje rodzeństwa: starszy brat Zbyszek urodz. 1 stycznia
1920 r., ja i młodsza siostra Sława rodz. 17 września 1926 roku.

Wszyscy troje uczyliśmy się w domu, ponieważ nie było polskiej
szkoły na wsi i zdawaliśmy co roku egzaminy w Prywatnym Gimnazjum
Polskim im. Adama Mickiewicza w Kownie / ul. Miśku 1 - Leśna /
Prywatne nauczanie w domu było przez władze litewskie zabronione i
dość często prywatne nauczycielki były karane rocznym pobytem w obo-
zie. Żadnej z naszych nauczycielek taki los nie spotkał. Natomiast
Ojcu trzy razy wytaczano sprawę sądową za nie posyłanie dzieci do
szkoły litewskiej. Pamiętam, jak raz przyszło dwóch policjantów, aby
zaprowadzić dzieci do szkoły. Ojca nie było w domu, mama zaś oświadczy
że jeszcze nie było wyroku i dzieci nie dała. Za trzecim razem wyrok
był pomyślny, dzięki nie tyle zaświadczeniom lekarskim, ile dużej ła-
pówce kierownikowi tamtejszej szkoły oraz zobowiązaniu, że nauczy-
cielka ze szkoły będzie nas uczyła w domu po litewsku za specjalną
opłatą.

W 1936 r. jesienią brat Zbyszek rozpoczął naukę w V klasie Gim-
nazjum Polskiego w Kownie. Ja i siostra rozpoczęłyśmy naukę w Gim-
nazjum jesienią 1937 r. Wtedy właśnie zakładano już tajne harcerstwo,
do którego należała cała nasza trójka.

W lipcu 1939 r. zostałam wydelegowana wraz z chyba 9 - ma ko-
leżankami do Polski na obóz harcerski dla drużynowycy dla Zagranicy.

Publikacja

po podaniu

Zwolta

Phlo

1
2
3
4
5

Byłam więc najpierw 3 tygodnie w Janowej Dolinie , woj.Łuck /Wołyń/
następnie była wycieczka po Polsce: Częstochowa, Wieliczka, Kraków,
Zakopane, Lwów i Wilno /być może kolejność była inna/, a potem drugi
obóz nad jeziorem Białym k/ Augustowa. Ten drugi obóz był raczej "wy-
poczynkowy" jak mówiłyśmy. Natomiast pierwszy - ten w Janowej Doli-
nie był intensywnie szkoleniowy, tam też powtarzałam przyrzeczenie
harcerskie i tam otrzymałam krzyż harcerski nr 784 lub 874 - nie pa-
miętam. W czasie okupacji zakopałam go po aresztowaniu Brata i potem
nie odnalazłam./ Krzyże mieli tylko ci harcerze, co byli w Polsce,
na Litwie jeszcze krzyży nie mieliśmy, a potem wybuchła wojna /

Komendantką obozu w Janowej Dolinie była dhn Wilkówna. Wizytowały
go dh Daszkiewiczowa i dh Staniszkisowa. Byłyśmy w trzech zastępach
/ były tam też harcerki z Łotwy, Estonii, 2 z USA i 1 z Rumunii/
Moją zastępową była dh Maria Koziejówna z Warszawy, później ranna
w Powstaniu Warszawskim, zmarła w Londynie w 1981 r.

Do domu na Litwę wróciłam 22 sierpnia 1939 r. tzn. tydzień przed
wybuchem wojny.

We wrześniu pojechałam wraz z rodzeństwem do Gimnazjum do Kowna.
Praca w harcerstwie była kontynuowana. Zostałam zastępową dziewcząt
częściowo z mojej klasy, a częściowo z klasy młodszej o rok oraz
drużynową Zuchów. W naszej pracy kładłyśmy szczególny nacisk na szko-
lenie w zakresie udzielania pierwszej pomocy..

Wkrótce zaczęli napływać na Litwę internowani i cywilni uchodź-
cy z Polski. Natychmiast zmobilizowano przede wszystkim harcerzy do
niesienia pomocy uchodźcom. Ja się znalazłam w grupie harcerek, któ-
re pomagały w zorganizowanej przez PCK stołówce przy ul. Kiejstuta.
Natychmiast po lekcjach udawałyśmy się na dyżury: pomoc przy rozda-
waniu obiadów, następnie przygotowywanie kanapek na wieczór i poda-
wanie tychże. Brat mój Zbyszek w tym czasie organizował ucieczki in-
ternowanych z bozów. Pamiętam, jak w czasie mego wieczornego dyżuru
w stołówce przyprowadził trzech harcerzy/ wszyscy oni żyją, jeden
jest w Londynie, zaś dwóch w Polsce/ w domu na wsi mieliśmy jedno
małżeństwo / nie pamiętam nazwisk/ i starszego harcerza Hlebowicza,
który miał dokumenty na nazwisko Chreptowicz.

19 czerwca 1940 roku zmarł mój Ojciec. Wkrótce po wkroczeniu
wojsk radzieckich na Litwę zamknięto nasze Polskie Gimnazjum. Brat
jeszcze zdążył zdać maturę w polskim gimnazjum, natomiast ja i sio-
stra zostałyśmy skierowane wraz z innymi uczniami do X Litewskiego

11

Gimnazjum w Kownie. Dwie starsze klasy VII i VIII / dawnego typu / miały zgodę na naukę po polsku i do tych klas zostali skierowani nasi nauczyciele. Obie te klasy musiały zdać maturę.

Wiosną 1941 r. zdałam przyspieszoną maturę i 20 czerwca w nocy wróciłam do domu już w Kiejdanach, gdzie w wynajętym mieszkaniu mieszkała moja mama. Nazajutrz rano było już bombardowanie Kiejdan, a w dni później byli już Niemcy.

Wyjechałam na wieś do mojej koleżanki z klasy Anny Stachowskiej do Dejryszek k/ Datnowa. Wkrótce otrzymałam od Brata polecenie przeprowadzenia szkolenia w zakresie udzielania pierwszej pomocy wśród grupy dziewcząt w miejscowości Urniaże / 2 km. od Datnowa / Urniaże były wsią zamieszkałą prawie wyłącznie przez Polaków. Tam pracowałam z grupą dziewcząt / ok. 10 osób / do jesieni. Wraz ze mną przebywał w Urniażach Bronisław Jastrzębski, który z kolei prowadził szkolenie z mężczyznami, ale przypuszczam nie było to szkolenie sanitarne. W tym czasie miałam pseudonim "Irka".

Na krótko wróciłam do domu, bo już od 1 listopada 1941 r. zostałam zaangażowana jako prywatna nauczycielka dwojga chłopców u p.p. Baniewiczów do miejscowości Dębowo gm. Panoteria i , pow. Wiłkomierz. Uczyłam ich trzy lata i przerobiłam program trzech klas gimnazjalnych chyba pomyślnie bo po przyjeździe do Polski obaj zdali bez trudu do odpowiednich klas w Polsce. / Moi uczniowie : Marian i Zbyszek Baniewiczowie są w Polsce /

W grudniu 1941 r. przyszedł do Dębowa mój Brat Zbyszek. Oznajmił mi, że Broniek Jastrzębski wyjechał do Warszawy, że do mnie przyjdzie od niego list, z którego wynika, czy Zbyszek może też już tam jechać gdyż na Litwie Brat mój cały czas się ukrywał i poprostu nie miał już miejsca. W czasie tej wizyty polecił mi przybyć na zbiórkę do Kowna 21 grudnia 1941 r. Była to odległość 60 km i nie bardzo wiedziałam, jak mam ją przebyć. Ale Brat mój powiedział tylko, ~~xxx~~ "Jest harcerka, więc myśl". Na wszelki wypadek podał mi adres na przedmieściu Kowna, gdzie mogła bym zostawić konia, gdybym przybyła konno. Było to raczej życzenie, a nie rozkaz, ale chciałam je spełnić za wszelką cenę. W przebraniu męskim konno dotarłam do Kowna na czas i stawiałam się na zbiórkę w Plebaniszkach /wówczas las pod Kownem, teraz dzielnica miasta/, gdzie ostatni raz widziałam mego Brata. Czułam, że był ze mną wtedy zadowolony. Przekazałam mu wiadomość od Bronka, że dotarł szczęśliwie do Warszawy i że na niego czeka i że załatwił pracę w fabryce. Pamiętam, że wtedy zabrakło w naszym gronie z grupy już zwanej "Starszoharcerską" a zbierającej się regularnie zimą 1940/41 u Zby-

ka w świetlicy polskiej na Wiliampolu /dzielnica Kowna/ gdzie Zbyszek mieszkał potajemnie, bo już się ukrywał przed Litwinami/, brakło jedynie Zdziśka Kołodziejskiego, który wiosną tego roku został wywieziony przez NKWD. Była to pożegnalna zbiórka przed planowanym wyjazdem Zbyszka do Warszawy. Podzieliliśmy się wszyscy opłatkiem przy żywej choince, na której Brat mój zapalił kilka świeczek.

Jednakże w końcu stycznia lub na początku lutego 1942 Brat mój został aresztowany na dworcu w Wilnie. Wiadomość o tym przyniósł mi Janusz Strawiński, który umarł w obozie koncentracyjnym w Dachau na 2 tygodnie przed jego wyzwoleniem.

Gdzieś w marcu przybył do Dębowa Mieczysław Bystram ps. Natan niby z wizytą do moich gospodarzy, których znał. Poprosił mnie, abym z nim wyszła do parku. Wtedy mnie zapytał, czy chcę wstąpić do AK. Bez namysłu odpowiedziałam "Tak". Pamiętam, że powiedział wtedy kilka wspaniałych zdań o moim Bracie i że zależy im bardzo mieć w swoich szeregach Jego siostrę. Pamiętam też, jak w czasie tego "spaceru" składałam przysięgę. Zapytałam wtedy, co mogę robić w mojej sytuacji jestem na służbie od 8- ej rano do 18- ej lub 19- tej wieczór. /Z każdym uczniem miałam zajęcia osobno/. Wtedy mi powiedział, że narazie będę przyjmowała "pocztę" od łącznika, który poda hasło, a następnie inny łącznik będzie ją odbierał w ten sam sposób. Natomiast w przyszłości będę skierowana jako sanitariuszka do oddziału.

Hasła nie pamiętam dokładnie, wiem tylko że to był cytat z "Trylogii" chyba z "Potopu" /kiedy któryś z bohaterów wita dziewczynę. Tak się szczęśliwie złożyło, pierwszemu łącznikowi sama otworzyłam drzwi i chociaż go nie znałam po usłyszeniu hasła odpowiedziałam rzucając się mu na szyję z powitaniem. Moi gospodarze, obeni przy tym, byli zupełnie przekonani, że to mój dobry kolega.

Raz jednak dostałam rozkaz dostarczenia poczty osobiście do punktu odległego o 10 km. Mogłam to zrobić tylko w niedzielę. Poprzedniego dnia prosiłam moją gospodynię, aby zwolniła mnie z obowiązku przygotowania śniadania, bo "chcę iść do kościoła do spowiedzi" /5 k a moja siostra mnie wyręczy. W niedzielę wstałam wcześniej rano, poszłam do stajni, osiodłałam konia i wyruszyłam boczną drogą wzdłuż lasu. Dojechałam szczęśliwie, było mi nawet wesoło, bo dzień był słoneczny, dopiero kiedy dotarłam na miejsce i wypowiedziałam hasło i usłyszałam: "Niech pani stąd ucieka, nic nie przyjmę, miejsce spalone", szłam do uwiązane go opodal konia, a nogi miałam jak z waty. Z trudem usiłowałam włożyć nogę w strzemię, kiedy pojawił się nagle

mój już znajomy łącznik. Przypuszczam, że zbyt późno dowiedział się o niebezpieczeństwie, aby mnie ostrzec. Zabrał ode mnie pocztę, a ja wróciłam do domu. Nic się wtedy nie stało /łącznik ten nazywa się Witold Wojezwiłło i mieszka we Wrocławiu #.

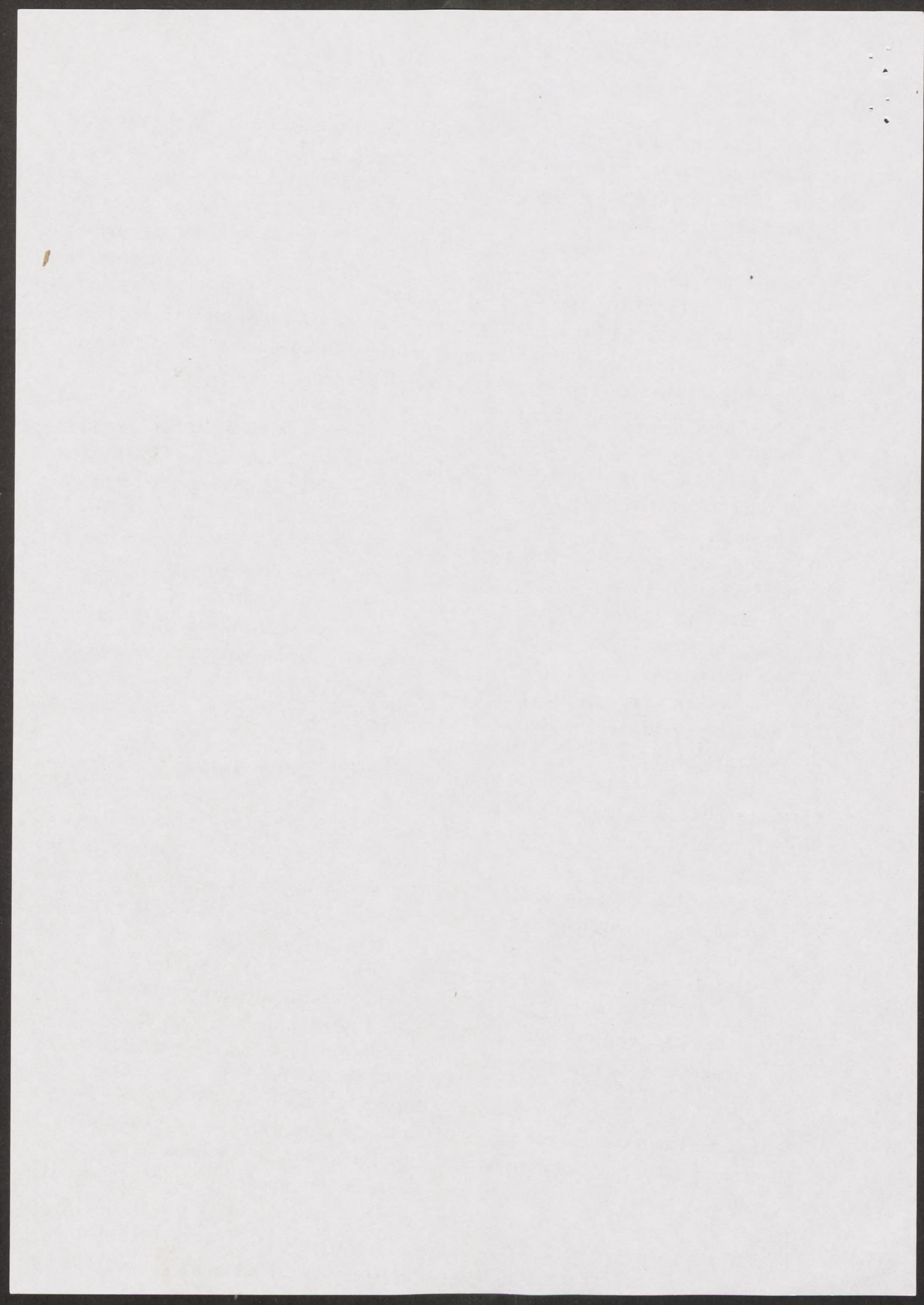
Jednak jeden raz ~~zabrał~~ a było to już latem 1943 r. otrzymałam na przechowanie transport broni. Przywiózł ją wozem konnym ukrytą w słomie siostrzeniec mojej gospodyni Leszek Martusewicz. Był już bardzo późny wieczór / ok. 23-ej/ i trzeba było szybko ją ukryć, a trudno to było zrobić bez zwrócenia uwagi gospodarzy. Poleciłam więc zrzucić na razie broń w krzaki malin, a nazajutrz o świcie miałam ją sama przenieść w bezpieczne miejsce. Miałam już instrukcję, że najbezpieczniejszy czas do dokonania takich operacji jest przed świtem, kiedy ludzie najmocniej śpią. Ponieważ latem, kiedy moi uczniowie mieli wakacje pracowałam wraz z młodszą siostrą przy obrządku świń i krów wstawałyśmy codziennie o 4³⁰ rano, więc jeżeli następnego dnia wstałyśmy wcześniej jeszcze przed świtem, nie było w tym nic dziwnego. /Od lata 1942 mieszkała już razem ze mną moja matka i siostra. Jako obecnie najstarsza z dzieci poczuwałam się do obowiązku zapewnienia bytu matce i siostrze. Zawarłam więc umowę z gospodarzami na mocy której miałyśmy obie z siostrą wykonywać wszelkie prace w gospodarstwie bezpłatnie wzajemnie za utrzymanie i mieszkanie nas trojga /Matka i siostra nie były wtajemniczone w moją pracę konspiracyjną, jednakże były momenty, kiedy mogły się tego domyślić. Pierwszy raz miało to miejsce gdy przywieziono broń. Broń była ciężka, a było tego z 8 - 9 sztuk, więc aby to ukrycie poszło sprawnie i szybko musiałam prosić siostrę o pomoc. Wstałyśmy więc następnego dnia przed świtem, przeniosłyśmy broń z malin do chlewa dla świń i ukryłyśmy pod ściółką. Obracałyśmy kilka razy i zanim się rozwidniło, było już po wszystkim. Uważałam to miejsce za najbardziej bezpieczne, gdyż poza mną i siostrą nikt tam nic nie robił. Moja młodszą siostrą, która miała wtedy 14^{1/2} lat była bardzo przejęta wykonywaniem tego zadania, a kiedy skończyłyśmy, zabiło nam się ogromnie wesoło, kiedy wyobraziłyśmy sobie minę naszej gospodyni, gdyby wiedziała, co się znajduje u jej świń! Ale nikt poza nami o tym nie wiedział. Po pewnym czasie znów ktoś przyjechał wozem wymoszczonym słomą / nie pamiętam kto/, wieczorem zabrał broń i odjechał.

Drugim przypadkiem, kiedy z kolei moja Mama mogła się domyślić mojej pracy, było następujące zdarzenie: pewnego dnia przybył do mnie Józef Ciechanowicz ps. "Rolek" nie wiem w jakiej sprawie, ponieważ

z reguły wszelkie rozmowy dotyczące spraw konspiracji były przeprowadzane na osobności w czasie, kiedy odprowadzałam moich "kolegów". "Rolek" był zastępcą komendanta AK rejonu Kiejdany. Przez pewien czas rozmawialiśmy w pokoju stołowym w obecności gospodarza domu. W pewnym momencie spostrzegliśmy, że na podwórzu są Niemcy. Gospodarz natychmiast wstał i wyszedł na podwórze, myśmy też wstali i wtedy zauważyłam, że "Rolek" jest blady jak ściana i jakby sparaliżowany. Powiedziałam: "choć wyprowadzę cię innym wyjściem". Przeszliśmy do mego pokoju, skąd były drzwi do przedpokoju i wyjścia frontowego. Z tej strony domu nikogo nie było. Należało się śpieszyć, ale Rolek był jakiś dziwny. Wiedzioną czystą intuicją zapytałam: "Masz broń? Odpowiedział: "Tak". "To dawaj szybko". Wyciągnął z kieszeni pistolet, który wepchnęłam pod swoją podciel i dosłownie wypchnęłam go do przedpokoju. Otworzyłam drzwi frontowe, wskazałam aleję i powiedziałam z naciskiem: "Masz iść prosto, spokojnie tą aleją. Jak wrócisz któregoś dnia oddam ci broń". Rolek wyszedł, patrzyłam jeszcze przez okno, aż zginął mi z oczu za zakrętem. Wróciłam do łóżka, aby wyjąć broń i wynieść z domu do parku, ale nie mogłam jej znaleźć. Byłam bardzo zdenerwowana, kiedy weszła moja Mama. Powiedziała mi kilka słów na temat mojej nieostrożności /nie było czasu na inne wyjście/, o tym, że broń ukryła, nie powie gdzie, a odda, jak będzie trzeba. Później nigdy nie wracała do tej sprawy, jak gdyby nic nie zaszło. /Niemcy wtedy przyjechali po zboże i do domu nawet nie weszli/.

Miałam również kontakt z komendantem rejonu Kiejdany Mieczysławem Monkiewiczem ps. "Smętny" /obecnie już nie żyje/, ale szczegółów nie pamiętam. Nie pamiętam wielu szczegółów mojej pracy poza niektórymi, które wiązały się z pewną emocją. Do tych należy też rozkaz rozszyfrowania pewnego mężczyzny, chyba przedwojennego porucznika, przebywającego w sąsiedztwie po zmienionym nazwiskiem. Rozkaz ten mnie przeraził. Mimo całej grozy wojny i doznanych krzywd, trudno mi było pogodzić się z wyrokami śmierci. Powiedziano mi jednak, że na razie taki wyrok nie grozi, tylko ostre ostrzeżenie. Rozkaz wykonałam, zre tą bez większego trudu, bo był to człowiek okropnie gadatliwy i lubiący się chwalić. Ostrzeżenie poskutkowało. Był to zresztą nie tyle podły, co głupi człowiek i zachłanny na pieniądze.

Na wiosnę 1944 roku zaczęłam oczekiwać rozkazu wyruszenia do oddziału w charakterze sanitariuszki. Ponieważ za dwa lata nie otrzymywałam żadnego wynagrodzenia i nie miałam środków na żadne wyposażenie, zwróciłam się do gospodarzy z prośbą o długie buty dla siebie i siostry, która mi oświadczyła, że pójdzie ze mną. Buty oficerki bardzo wygodne /chodziłyśmy w nich na studiach w Toruniu/ wykonywane przez siostrę. Chciałam włosy i czekałam na rozkaz wyruszenia.



nia na Wileńszczyznę do oddziału. Front był coraz bliżej, rozkaz jednak nie przyszedł. Leszek Martusewicz bez rozkazu wyruszył konno na Wileńszczyznę, ale tam już robrajano oddziały Ak i był obóz w Miednikach, w którym znalazł się również zastępca mego szefa Zygmunt Czernik, wywieziony następnie do Kaługi, z której wrócił po wielu latach i obecnie jest gdzieś na Mazurach.

Jeżeli chodzi o moich gospodarzy z Dębowa, mam wrażenie że pan Antoni Baniewicz domyślał się wielu spraw /choćby ten przepływ młodych ludzi przez Dębowo mógł już nasuwać różne przypuszczenia/, jednak nie miałam nigdy w tej sprawie żadnych uwag ani indagacji. Byli to porządni ludzie.

Począwszy od zimy 1943 roku nawiedzały dość często i regularnie nocą oddziały partyzantki radzieckiej, której było sporo w okolicznych lasach. Oddziały te składające się z 10- 12 osób miały w swych szeregach kilku Litwinów, wywodzących się raczej z marginesu społecnego, jako że po przejściu frontu dezertowali z wojska i z bronią rabowali ile się dało nie wyłączając miejsc, gdzie w swoim czasie dostawali schronienie i żywność. Dębowa też nie ominęli. Trzeba natomiast przyznać, że Rosjanie zachowywali się bez zarzutu, kiedy przychodzili nocą, jako oddział partyzancki, aby się pożywić i ogrzać. Mnie wtedy budzono i musiałam w kuchni szybko przygotować jakąś ciężką strawę /jajecznice, kawę zbożową/, a następnie zaopatrzyć ich w żywność na drogę.

Po przejściu frontu opuściłam Dębowo i przyjąłam pracę w oddalonych o 7 km. Żejmach /sowchoz nowoutworzony z olbrzymiego majątku hr. Kossakowskich/ Dyrektorem sowchozu został mgr inż. Władysław Urniaź członek AK. Na jego polecenie i już na własną odpowiedzialność wydałam z magazynu zbożowego /byłam magazynierką/ cały wóz zboża dla widocznie jeszcze rozproszonych oddziałów AK na Wileńszczyźnie. To był moje już ostatnie zadanie. Po kilku miesiącach dyr. Urniaź został aresztowany i z całą rodziną wywieziony w głąb Rosji.

W marcu 1945 roku powstał Urząd Repatriacyjny w Kiejdanach, gdzie natychmiast zapisałam się na wyjazd do Polski. Od tego momentu rozpoczęły się różne szykany i przesłuchania na milicji oraz straszenie że mnie nie wypuszczą. Miałam jednak dużo szczęścia, bo wszyscy robotnicy w majątku byli po mojej stronie, a pierwszy sekretarz partii mechanik Biszys powiedział mi wprost: "Kalina, ty się nic nie bój, bo nie damy ci zrobić krzywdy". I rzeczywiście udało mi się wyjechać

z Żejm jednokonnym wozem do Kowna, z Kowna ciężarówką przez Suwałki do Polski. Na początku listopada dotarłam z Mamą i mężem do Torunia, gdzie już była moja siostra, która przybyła tu wraz z dr Karnicką z Wilna i tu się zatrzymałam, początkowo u p.dr Karnickiej.

W styczniu 1946 rozpoczęłam studia na wydz. humanistycznym - filologia polska, którą ukończyłam w grudniu 1950. Rok pracowałam jako zastępca asystenta na UMK, potem postawiono mi warunek wstąpienia do partii, który odrzuciłam. Zostałam bez pracy, ale wkrótce 17.VII.48 przyjęła mnie do pracy prof. Maria Prütfferowa w Dziale Etnograficznym Muzeum Miejskiego w Ratuszu. Zaczęłam więc równolegle studiować etnografię. Odtąd bez przerwy pracowałam najpierw w Dziale, później Muzeum Etnograficznym w Toruniu do 31.XII.75. Od 1.I.76- 31.III.82 pracowałam jako kierownik Działu Naukowo- Oświatowego w Muzeum Okręgowym. Naskutek choroby Matki byłam zmuszona przejść na nieco wcześniejszą emeryturę z dniem 1.IV.82. Po śmierci Mamy podjęłam ponownie pracę w Museum Okręgowym w Toruniu w niepełnym wymiarze godzin.

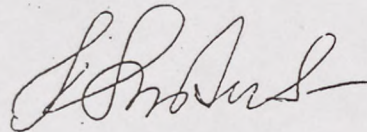
Z okresu okupacji nie posiadam żadnych zdjęć związanych z działalnością konspiracyjną, jedynia własne zdjęcie z 1942, które załączam. Załączam także jedyne powiększone zdjęcie amatorskie mego brata Zbyszka, który został rozstrzelany w Wilnie na Ponarach 13.VI.1942 r. , odznaczonego pośmiertnie Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Sama posiadam Krzyż Armii Krajowej nadany mi przez Londyn - leg. nr 28173 oraz odznaczenie Medalem Wojska po raz 1, 2 i 3 - leg. nr 31474

Pamiętam jeszcze 27 nazwisk koleżanek i kolegów, którzy byli najpierw w harcerstwie tajnym na Litwie, potem w Armii Krajowej. Niektórzy z nich zostali rozstrzelani, niektórzy zginęli w obozach koncentracyjnych, bądź je przeżyli, prawie wszyscy byli więzieni.

Mój obecny adres: Kalina Skłodowska- Antonowicz, 87- 100, Toruń,

Toruń, 25 marca 1990 r.



P.S. W czasie mojej pracy w AK w Dębowie nie używałam pseudonimu. O tym, że go miałam i że brzmiał "Róża" dowiedziałam się już po wojnie od mego przełożonego "Natana". Natomiast w Urniażach w 1941 występowałam pod wybranym przez siebie pseudonimem "Irka". Gdy pytano mnie o nazwisko, mówiłam że się nazywam Stankiewiczówna .

10